OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 9/18 Marca 1868 roku.

Nr 11. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie.
Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

Od Redakcji.

Zmniejszona prawie o trzecią część w porównaniu z zeszłoroczną, cyfra prenumeratorów w kwartale bieżącym na Opiekuna Domowego, nie daje możności wychodzenia temu pismu o własnych siłach. Redakcja jednak wiedząc z doświadczenia, jak jest trudno po zamknięciu pisma skupić na nowo przyjazną drużynę czytelników, postanowiła ze szkodą własnych materjalnych środków, wydawać jeszcze nadal, a mianowicie w kwartale II-im r. b. Opiekuna Domowego. Będzie to ostatnia z jej strony próba. Niechaj więc ci, dla których Opiekun jest prawdziwym przyjacielem i doradcą rodzinnym, niechaj ta mała liczba pozostałych prenumeratorów, raczy ostrzedz tych, co w kwartale bieżącym opuścili szeregi wytrwałych naszych czytelników. —Niechaj, powtarzamy, prawdziwi przyjaciele pisma naszego, zechcą podzielić się z rodzinami i znajomymi wieścią o grożącym Opiekunowi Domowemu upadku. Wprawdzie mamy to przekonanie, że ubytek prenumeratorów o jakim wyżej wspomnieliśmy, może być przemijającym. W każdym wszelako razie, Redakcja może i powinna zwrócić się z żądaniem poparcia jej usiłowań do ogółu wtedy, kiedy widzi się być zagrożoną zamknięciem pisma.

Ze swej strony w kwartale następnym nie ustaniemy w pracy: obok zapowiedzianych już powieści, damy bezpłatnie *Kalendarz ścienny illustrowany* na drugie półrocze. Powiemy więcej — mając przyrzeczone współpracownictwo paru ze znakomitości naszych, chcielibyśmy zrobić miłą niespodziankę czytelnikom naszym, dając w kwartale II-im r. b. kilka utworów, którym nawet krytyka, zdaje się, że nic zarzucić nie będzie mogła.

Cena Opiekuna Domowego pozostaje ta sama nadal. Objaśnić jednakże winniśmy prenumeratorów z prowincji, że jeżeli chcą taniej, spieszniej i regularniej otrzymywać pismo nasze, niech albo wprost składają prenumeratę w Redakcji, albo też nadsyłają takową pocztą lub przez okazję do Redakcji, w ilości 75 kop. (złp. 5) na kwartał.



Cóżeście słyszeli za przeforsztowaniem (Str. 85 Szp. 2)

PIEŚŃ Z MOJEGO ŻYCIA,

przez

Franciszka Gumowskiego.

O mój Boże, o mój Boże,
Gdzież wy jasne młode lata,
Człowiek wspomnieć was nie może,
Bo łza w oko zaraz zlata.
Czy to myślą sięgnę w owe
Dnie dziecinne, gdym na łące
Zrywał kwiatki koralowe
I motyli gnał tysiące,
I siostrzyczkom ukochanym
Z strojnych lalek skręcał główki,
I koncerzem wystruganym
Wpadał zbrojny na makówki;
Czy to staną szkólne czasy,
Jakem w licznem malców gronie,
Z seksternami szedł do klasy,
Pysząc się jak Szach na tronie;

Jakem płatał figle, hece,
Jakem do Mszy świętej służył,
Jakem topił się raz w rzece
Gdy koleżka mnie unurzył;
A Ksiądz Prefekt, a łacina,
A majówki, a zabawy,
Liścik... koza — dyscyplina
I honory pierwszej ławy.
Czy to znowuż w myśli rzędzie,
Poważniejsze drgną mi lata,
Jakem bawił wszystkich wszędzie,
Gdym się wyrwał z szkół do świata;
Jakem, według Ojca woli,
Krajał skiby żyznej roli,
A wieczorem przy stoliku
Czytał książki—różne dzieje
I szpargałów moc bez liku,
Aż się dusza do nich śmieje.
A kuligi, a zaloty,
Pierwsza miłość,—ej mój Boże,
Gdzieżeś, gdzieżeś, wieku złoty,
Człek napieścić cię nie może,
Człek napłakać się nie zdoła,
Gdy mu błyśniesz dawnym wieńcem,
Dawnem niebem i rumieńcem,
Jak twarzyczką archanioła.
Ó! płyń srebrna łzo z powieki,
Nad brylanty kosztowniejsza,
Czas raz po raz się umniejsza,
Jako wody płyną wieki;
I ty pójdziesz w dno wieczności,
Zginiesz kiedyś w oceanie;
Więc póki mi sił mych stanie,
Chcę wyśpiewać twe miłości,
Twe słodycze, twe roskosze,
Które w głębi duszy noszę.

Lecz co śpiewać w tej piosence,
W jakie tony mi uderzyć?
Ach, gdybym mógł wam zawierzyć,
Tobym znalazł w mej lirence
Takie śliczne rzeczy, skazki,
Opowieści i przygody,
I różności i obrazki,—
Boć człek przecież bywał młody.
Ale gdzie wam to tam w głowie...
Wyszydzicie, wyśmiejecie
To kochane moje dziecię,
Że aż mnie już bierze mrowie,
Bo złych ludzi pełno wszędzie.
Ej, co będzie, niechaj będzie,
Chętka jakoś język łechce,
Muszę, czy chcę albo nie chcę,
Choć przypłacę może zdrowiem,
Jedno przecież wam opowiem:

Ledwiem z szkólnej zeszedł ławy,
Rodzic wezwał mnie do chaty
I rzekł: „Jam już zgięty laty,
A tu różne leżą sprawy:
Dwa processa z sąsiadami,
Gospodarka jakoś chromie,
Tam opędzaj się z żydami,
Co cię połknąć chcą łakomie,
Tutaj służba cię okrada;
Więc, mój synu, trudna rada,
Kiedy rządzić nie ma komu,
Ty już osiąść musisz w domu.
I choć mnie to trochę boli,
Że przykuwam cię do roli,
Zamiast wysłać między ludzi,
Gdzie człek z życiem się boryka,
Tam gdzie myśl się w głowie budzi,
Jako kwiatek od promyka,
Gdy go ciepłem swém ogrzeje,
Trudna rada—przeciw wodzie
Płynąć, choć wiatr inak wieje.
Zresztą, nie ku wielkiej szkodzie
Zatrzymuję ciebie doma:
Pług żelazny, chléb i rola,
To ci panie wyraz święty;
Kto się pługa, roli sroma,
Nie całuje swego pola,
Taki człowiek jest przeklęty.
Więc się zgadzaj z Bożą wolą,
Siedź i pilnuj Ojca, Matki,
I tych stodół i tej chatki,
I bądź stróżem nad swą rolą;
Kochaj Boga, kochaj Wiarę,
A gdy tęskność cię opadnie,
Gdy uczujesz w sercu na dnie,
Tak za latek jakie parę...
Ale co tam,—o tém potem;
Dosyć będzie z tym kłopotem.
Czasem i ja się wybiorę,
W dzień pogodny, w piękną porę,
Aby spojrzeć na twą pracę,
Czy nie próżno jész kołacze;
Rad udzielę, pokieruję,
Nieraz złaję, pocałuję;
A broń Boże wybryk jaki,
Jakieś głupstwa, wichry, szały,
Oj, dałbym się waści w znaki,
Wały, panie, wały, wały...
Choć świat wezwiesz na obronę,
Nie pomoże. No, skończone.“

Rodzic kazał—święta wola,
Dobre dziecko zawsze słucha.
W Imię Ojca, Syna, Ducha,
Marsz do pracy! Odtąd rola,
Pługi, radła, lasy, łany,
Koń i ludek wyśmienity,
I nasz domek słomą kryty,
Był to świat mój ukochany.
O! zrósłem się z nim serdecznie,
Że dopókąd sił mi stanie,
Tak dopomóż mi tu Panie,
Już go pomnieć będę wiecznie.
Wiosna, lato, jesień, zima,
Niepogoda czy pogoda,
W jakiekolwiek wreszcie klima,
Zawsze u mnie krew nie woda,
Zawsze byłem w ruchu, czynny,
Pracowity, sprytny, zwinny,
I processa pokończyłem
I z żydków się uwolniłem,
Popłaciłem wszystkie długi,
I ład wwiodłem między sługi,
I Bóg jakoś łaską wspierał,
Żem szczęśliwie plony zbierał;
Więc rodzice mnie kochali,
I sąsiedzi poważali;
Cała prawie okolica,
Od parobka do szlachcica,
Nie mijając ekonoma,
Miała mnie za agronoma.
A ja wszystkich dobrze znałem,
I bawiłem i kochałem,
Jak brat jednym, jak syn drugim,
Zawsze z koniem, książką, z pługiem,
I tak rok już sobie siedzę.

Wtém za nami, tak o miedzę,
Do zaścianka ponad lasem,
Com go Ojcu kupić radził,
Nowy dziedzic się sprowadził
Z córką, mówiąc nawiasem.
Lecz był panie człowiek dziwny:
Jakiś nieswój, zimny, sztywny,
Nie chciał znać się z sąsiadami,
Nie żył z nikim, nawet z nami.
Dworek jego czysty, biały,
Stare lipy otaczały,
I ogródek owocowy;
Dalej strumyk kryształowy,
Jeszcze dalej łęgi, łany
I pagórki i kurhany,
A widnokrąg—miły Boże,
Z Szwajcarją się zrównać może.
Dziwnym nam się wielce zdawał
Nowy sąsiad na zaścianku,
Bo na panka coś zakrawał,
Książki czytał bezustanku,
Folianty, kalendarze,
I gazety i herbarze,
Był pochyły, siwy, stary,
A miał imię pan Makary.
Pan Makary siedział w domu,
Nie udzielał się nikomu,
Nie zawierał znajomości,
Tylko czytał, lulkę palił,
Pana Boga wiernie chwalił,
I unikał złych skłonności.
Zawsze w święta i niedziele
Mogłeś ujrzeć go w kościele,
Jak na klęczkach przed kratkami
Bił się w piersi mocno, szczerze,
I modlitwę skrapiał łzami.
Ktoś tam mówił... ej, nie wierzę,
Ludzie często opak śledzą,
Obgadują a nie wiedzą;
Dość, że starca choć nie znałem,
Całą duszą pokochałem.
Ale córka... ach, niebiosa!
Co to była za dzieweńka,
Taka śliczna jasnowłosa,
Taka zwinna jak rybeńka,
Tak ognista jak gwiazdeczka!
A buziaczek, a usteczka,
A oczęta szafirowe,
A te ząbki perełkowe,
A te rączki, gdy składała
Do pacierza przed ołtarzem,
Tak jak anioł wyglądała.
Gdybym wtedy był mocarzem,
I koronę i lud mnogi
Podesłałbym jej pod nogi.
Każdy pewno wié już w duszy,
Żem zakochał się po uszy.
Tak, na tyle piękna, krasy,
Toć i kamień by się wzruszył.
Dzisiaj, prawda, inne czasy,
Wiek tak serca nam wysuszył,
Młodzież stoi tak wysoko,
Że poczciwość, raj na twarzy,
Cudne liczko, ładne oko,
Za nic sobie prawie waży.
Pieniądz bratku i banknoty,
Szlachetniejsze ponad cnoty.
Ja kochałem duszą, ciałem,
O niej tylko wciąż myślałem,
Lecz martwiło mnie to wiele,
Lubom różnych dróg używał,
Żem jej częściej nie widywał,
Jak raz w tydzień i w kościele.
Ot naprzykład, na koniku
Dojeżdżałem do zaścianka,
Lub stawałem przy strumyku,
Sądząc przecież, że bogdanka
Wyjdzie, wyjrzy, gdzieś się zjawi;
Lecz czas człowiek próżno trawi,
Próżno włóczę się i błąkam,
Pod oknami jeżdżę, chrząkam,
Wszystko próżno — gdzieś zniknęła.
Ale raz mnie chętka wzięła,
By odwiedzić to gniazdeczko;
A więc strojno i w rajtroku,
Kiedy zaszło już słoneczko,
Tak o samym jakoś zmroku,
Ucząc kłamać się po drodze,
Do zaścianka z drżeniem wchodzę.
Krótkie było przywitanie:
Pan Makary zaraz pyta,
Śmiało, prosto i z kopyta,
Jakie mogę mieć żądanie.
Powiedziałem, że w granicy
Odszukałem podział krzywy,
Że dawniejsi poprzednicy
Zaorali mu coś z niwy;
Więc niech w progu naszym stanie,
Niech z rodzicem pogaworzy,
To i niwę swą dostanie,
Jak przykazał zakon boży.
Lecz Makary odrzekł z cicha,
Że on lubi pokój święty,
A ta sprawa warta licha;
Widać poznał me wykręty.
Jakem poszedł, takem wrócił,
I bogdanki nie ujrzałem,
I wstyd było że kłamałem;
Znówem latał, gryzł się, smucił.

Ale co to młode lata,
Czem tęsknica dla chłopaka?

Chociaż serce gdzieś ulata,
Duch silniejszy od dębczaka.
Choć cię oczko czyjeś pali,
Choć westchnieniem pierś rozdymasz,
Młody jesteś—więc ze stali,
Czoło w górę a wytrzymasz.
Tak i tutaj, przyszła kréska,
Jak to mówią, na Matyska,

Dnia pewnego, już w jesieni,
Słucham—w polu, słowik śpiewa:
A głos jego po przestrzeni,
Jak deszcz srebrny się rozlewa.
Co u licha o te czasy
Słowik robi?... więc za echem
Idę, biegnę, i z pośpiechem
Mijam gaje, łęgi, lasy,
Aż zmęczony i zdziwiony
Staję, myślę, czy co złego,
Oglądam się na wsze strony—
Toć i ogród Makarego.
Więc podsuwam się i łaszę
Pod parkanem, cicho, zdradnie,
Aby ujrzeć ono ptaszę,
Co tak śpiewać umié ładnie.
Wzrok do szpary przyłożyłem,
Nie wiém czego sam się boję,
Patrzę—i cóż zobaczyłem?...
Ptaszkę, ptaszkę, — mą dziewoję!
Mam cię, mam cię, mój ty kwiecie,
Najpiękniejszy w całym świecie.
Wiem już teraz, wiem gdzie trzeba
Szukać mego szczęścia—nieba:
W ogródeczku, gdzie lilije
I różyczki woń wydają,
Gdzie się powój w górę wije,
I narcyzy rozkwitają.
O! z jakiemże upragnieniem
Następnego dnia czekałem,
A gdy nadszedł, to ze drżeniem
Spoglądałem i wzdychałem...
Za parkanem stać niemiło,
I zobaczyć mnie kto może.
Ej, co będzie, mocny Boże,
Serce silniej uderzyło,
Nogi za pas — krew mnie bodzie,
Chlust! i jestem już w ogrodzie.

Dzień był cudny, słonko grzało,
Luby wietrzyk listki pieścił,
Czasem wionął, zaszeliścił,
A po krzewach ptastwo grało.
Na kanapce, na darniowej,
Jakby jaka róż kochanka,
W białej sukni muślinowej,
Spoczywała ma bogdanka.
Oczki miała snem sklejone,
Jasne włosy rozplecione,
A rączyna jak śnieg biała,
Drżące łono przyciskała.
Ominąwszy krzak agrestu,
Zwolna, cicho, bez szelestu,
Staję przed nią ledwie żywy,
Chwiejny, trwożny, lecz szczęśliwy.
Na kolano przyklęknąłem
I ustami się dotknąłem
Tej kanapki, tej darniny,
Uświęconej jéj istotą;
A gdym cmoknąć chciał w rączyny,
Pocichutku a z ochotą,
Czém się wcale człek nie trudzi,
Ogień trysnął mi na skronie...—
Aż nieznacznie—ta się budzi,
Patrzy... wstaje... blednie, płonie,
I uciekać chce strwożona.
Ja porwałem ją w ramiona:
„Kocham! kocham!" wołam w szale,
A choć rwie się, twarz zasłania,
Przecież trzymam ją zuchwale
I trzymałbym do skonania,
Do grobowej mogiélnicy.
Wtém krzyk powstał gdzieś na ganku,
Coraz bliżej, już w zaścianku;
Wszyscy słudzy, domownicy:
„Pies pies, wściekły!" krzyczą, wrzeszczą,
Słucham—krzaki też szeleszczą
I psisko się jakieś sunie,
Aż i panna z rąk mi frunie,
Biegnie, niknie jak kamfora,
A pies na mnie; trudna rada,
Trza uciekać, sama pora;
Brysio pieni się, ujada,
Aż tu: paf! paf! ktoś wypalił,
Pieś zaskamlał, trochę postał,
Wstrząsł się i padł... I jam dostał,
Bom się zachwiał i powalił...
W oczach wszystko mi się ścimiło,
W uszach głucho zadzwoniło,
Potem czułem jakieś dreszcze,
Mróz, gorąco i coś jeszcze,
Lecz co było,—nie wiem wcale.
Gdym się ocknął i ocucił,
Gdym wzrok naokoło rzucił,
Usłyszałem jakieś żale,
Płacze, jęki, narzekania,
I modlitwy i biadania.
Patrzę—co to? i nie wierzę,
Gdzie ja jestem, gdzie ja leżę?
U nóg klęczy mi dziewoja,
Ptaszka luba, złota moja,
W głowach siedzi człowiek stary,
Chryste Panie, toć Makary!
„Kocham, kocham, co się znaczy?"
Bełkotałem raz za razem;
Chciałem zerwać się w rozpaczy,
Lecz jakby mnie ciężkim głazem
Kto uderzył, padłem sztywny.
Snaćem bardzo się utrudził,
Bo sen miałem taki dziwny,
Żem się ledwie w dwa dni zbudził.
Odetchnąłem. Koło łoża
Siedzi Ojciec, Matka droga,
Pan Makary nakształt stróża,
I kochanka ma nieboga.
Uśmiech rzewny zmiął mi usta;
Nuż całować mnie rodzice
W czoło, w głowę, w oczy, w lice,
A rusałka moja pusta,
Aż klaskała od radości,
Aż Makary na nią wpadnie:
„Zosiu, Zosiu, to nieładnie
Tak się trzpiotać wobec gości."
Mnie znów uśmiech siadł na twarzy,
A choć ból gdzieś w boku praży,
„Zosiu, Zosiu!" zawołałem.
Więc podbiegła i stanęła,
Łzą perłową zabłysnęła,
A ja na nią popatrzałem,
Jak w obrazek poświęcany,
Rozmarzony i kochany.
Potem, kiedy pan Makary
Gładził moje blade skronie,
Pochwyciłem jego dłonie
I ściskałem je bez miary.
Płakał starzec wiekiem zgięty,
A tak patrzał na mnie tkliwie,
Tak miłośnie i rzewliwie,
Jakby jaki patron święty.
Ale co to młode lata,
Czém choroba dla chłopaka?
Chociaż dusza gdzieś ulata.
Tyś silniejszy od dębczaka.
Choć cię rana gryzie, pali,
Chociaż bólem pierś rozdymasz,
Jesteś młody— więc ze stali,
Pomyśl krzepko, a wytrzymasz.
Tak i ja też, chociaż długo
Przeleżałem z tego strzału,
Choć krew lała mi się strugą,
Jednak zwolna i pomału,
Przychodziło jakoś zdrowie.
O, któż radość tę wypowie,
Gdym raz pierwszy zwlókł się z łoża!
Pan Makary z rodzicami,
Witał mnie rzewnemi łzami,
A Zosieńka niby róża,
Trzpiotała się i tańczyła,
I paluszkiem mi groziła
Dając poznać że rodzice,
Mają jakąś tajemnicę...

Święty Boże, w siódmém niebie
Ujrzałem się niespodzianie,
Gdy przygarnął mnie do siebie
Pan Makary. Na żądanie
I Zosieńka przyszła skromnie,
Oczkiem wodząc gdzieś po ziemi,
A on począł mówić do mnie:
„Podbiłeś mię chłopcze swemi
Przymiotami i cnotami;
Jużem mówił z rodzicami
O twem szczęściu, o twem losie;
Kochasz chłopcze—no, bierz Zosię,
Boś i przez nią jest kochany;
A nie skakaj przez parkany,
Bo choć w tobie krew nie woda,
Aleź panie, życia szkoda.
Daruj dziecko, że z mej ręki
Tyleś poniósł bólu, męki.
Daruj chłopcze, nuż rybeńko,
Pocałujcie się a śmiele,
Jutro pójdziem raniuteńko
Na zapowiedź dać w kościele."

O mój Boże, o mój Boże!
Gdzież wy jasne młode lata,
Człowiek wspomnieć was nie może,
Bo łza z powiek zaraz zlata.
Żyłem z Zosią jakby w niebie;
Dziś, ach dzisiaj człek samotny,
I ztęskniony i markotny;
Nic nie widzę wkoło siebie,
Tylko przeszłość jak pociecha,
W moich dumkach się uśmiecha,
W moich pieśniach się przedziera.
Więc niech nikt nie poniewiera
Mą przeszłością, mą piosenką,
Mem dziecięciem, mą lirenką,
Lecz niech każdy ją przytuli,
Jak sierotę po matuli;
Niech ją każdy sercem całem
Tak pokocha jako może,
Jak i ja ją pokochałem,
A Bóg zapłać wam dołożę,
I z pewnością Bóg zapłaci,
Za współczucie dobrej braci.

CO WĘGĘK ZROBIŁ ZA PRZEFORSZTOWANIEM.

(ROZMOWA KUMOSZEK).

Obrazek miejski.

przez

Wołodego Skibę.

Dawniejszemi czasy przyszła mi ogromna ochota zostać stenografem i zacząłem się rozpytywać pomiędzy ludźmi, czy jakie książki poświęcone stenografji polskiej istnieją. Było to kilkanaście lat temu, nic podobnego jeszcze literatura nasza nie miała, Krupski trzymał swoje dziełko w rękopiśmie, a pp. Olewiński i Poliński ani myśleli wówczas, że się kiedyś przed sądami o swój honor stenograficzny spierać będą. Na zapytania więc moje, odbierałem najczęściej odpowiedź „nie wiem," która do-

wodziła, że zapytani nie wiedzieli nawet o tem, iż stenografja polska miała być dopiero dziełem przyszłości. Nie wszyscy jednak z taką szczerością do swej niewiadomości się przyznawali, i niejeden unikając odpowiedzi na uczynione pytanie, zagadywał mnie tylko:

— A cóż będziesz stenografował, choćbyć się i nauczył stenografji?...

Właściwie mówiąc powinienem był odpowiadać, że stenografować będę własne myśli i utwory. Przed kilkunastą laty byłem w owym wieku, w którym zwykle pismo nie wystarcza do przelania na papier pomysłów. Bujają one po głowie jak ptaki, i praca uchwycenia, i zaznaczenia na papierze śladu ich przelotu, najczęściej przechodzi zwinność piszącej ręki. Nie miałem jednak odwagi przyznawać się pierwszemu lepszemu do takiej obfitości planów i projektów literackich, jakkolwiek sam przed sobą byłem z niej szczęśliwy i dumny.

— Zawsze się coś zdarzy – odpowiadałem, choć w istocie w owym czasie bardzo rzadko okazja stenografowania zdarzyćby się mogła, — ot chociażby rozmowę tych dwóch babulek, co się spotkały od kwadransa i terkoczą jak koła młyńskie, a jedna drugiej przerywa, a jedna i druga gestykuluje, zaperza się, dowodzi....

— Masz słuszność, — mówił mój słuchacz — spisanie autentycznej rozmowy dwóch takich jejmości, byłoby w swoim rodzaju nowym nabytkiem dla literatury..... ale czy sądzisz, że im jakkolwiek stenografja wydąży?....

Na tem kończyła się rozmowa i długo jeszcze pozostało dla mnie zagadką, o czem rozmawiają kumoszki?....

Wiele czasu upłynęło następnie. Upór czy wytrwałość doprowadziły mnie do tego, żem sobie sam do swojego użytku systemat stenograficzny ułożył i władałem nim jako tako, a nie przyszło mi na myśl, czy też nie zdarzyła się sposobność posłyszeć i zanotować żadnej podobnej pogadanki. Przed kilku laty dopiero, siedząc w lecie w otwartem oknie mieszkania jednego z moich znajomych, zasłonięty firanką, znalazłem się przypadkiem w pozycji nadogodniejszej do wysłuchania i przekazania potomności charakterystycznej w tym rodzaju gawędy.

Jak w klassycznych djalogach starożytnych autorów, rozmawiających było dwie. Widzę je dotąd przed sobą: były to bowiem typowe postacie, jakie na podobnych gawędkach prawie codzień w okolicach Starego Miasta spotkać można. Starsza w czepcu przewiązanym chustką, bezzębna, ze śpiczastym nosem i jeszcze ostrzej niemal od nosa zakończoną brodą, prawą ręką wsparta na miotle, okryta chuściną, której przewiewne własności dla niejednego z fizyków byłyby zagadką, gdyż właścicielka nosiła ją zimą i latem i nigdy się ani na zimno ani na gorąco nie skarżyła, — druga młodsza znacznie, w czepcu podobnież, lecz bez krępującej chustki, z twarzą pełniejszą często w poważne wpadającą zadumanie, w ubraniu porządniejszem i calszem, w chusteczce z gracją zarzuconej, przy dosyć białym fartuchu.

Obie mówiły szybko i nic w tem dziwnego: były to lubowniczki rozmowy i to lubowniczki namiętne, niezmordowane. Kto zna namiętnych lubowników fortepianu i wie do jakiej biegłości dochodzą ich palce, po kilku latach dręczenia uszu sąsiadom gammami,—ten wyobrazi sobie, do jakiej biegłości mogły dojść języki tych pań, zważając na to, że jeżeli fortepianowy wirtuoz ma do kształcenia dziesięć palcy, dylletantka gawędy nad jednym tylko organem wykonawczym pracować musi, i jeżeli wprawie w gammy poświęca się zwykle lat kilka, to pani Marcinowa z konewką ćwiczyła się w gadatliwości przez pięćdziesiąt lat niespełna, a pani Jakóbowa z miotłą przez sześćdziesiąt kilka wiosen.

Potrzeba było rzeczywiście o wiele lepszego od wszystkich innych systematu, ażeby spisać co mówiły, i jest to największą mego systemu stenograficznego pochwałą, że tej sztuki dokazałem.

Rozmowa, według moich zapisek, brzmiała dosłownie jak następuje:

— Pani Jakóbowo!.... co to za szczęście, że was widzę.... właśnie myślałam sobie....

— I ja właśnie myślałam, żeby was spotkać pani Marcinowo, bo to widzicie....

— Nawet miałam wam przypomnieć...

— Dwa dni was nie widziałam, bo mnie odwołał ten stary....

— Stary, żeby jego.... bodaj kark skręcił....

— A miałam właśnie wam powiedzieć.....

— I ja miałam wam powiedzieć, żeście mi nie dokończyli....

— To, to, to, moja pani Marcinowo... to, to właśnie....

— Onegdaj....

— Onegdaj.... a tak onegdaj.... właśnie że tak.... tylko że nie pamiętam zupełnie.... wszystko mi to z głowy wywietrzało przy tych zmartwieniach, i co!...

— Oj! te zmartwienia, te zmartwienia!... żeby je!... mieliście znowu wczoraj jakie zmartwienie?....

— Wczoraj nie, ale zawsze.... widzicie już to takie życie nasze, moja pani Marcinowa...

— No, no, nie frasujcie się tylko..... będzie dobrze, jak złe minie....

— Oj! minie ono, minie, pani Marcinowo..... wciurnaści go tam wiedzą kiedy ono minie... więc tedy.... ale.... żeby nie skłamać.... cóż ja to mówiłam?....

— Chcieliście mi powiedzieć, pani Jakóbowo....

— Bodajże kumę! ja wiem, że chciałam powiedzieć.... ale co?....

— Oto onegdaj spotkałyśmy się i gawędziły, i chcieliście mi powiedzieć coście słyszeli u Węcków przez ścianę....

Jakubowa poprawiła się na miotle i roześmiała.

— A! a! — odrzekła wznosząc lewą rękę z wyciągniętym wskazującym palcem do góry, — przypominam sobie.... u Węcków.... bodajże cię!.... że ja też to mogłam zapomnieć, moja pani Marcinowo!.... ale cóż, człowiek starzeje się, to mu wszystko tępieje, nawet pamięć.... wy pamiętacie moja pani Marcinowo, ale też to i nie dziwota, boście młodsi.... a ja to czasem niosę łyżkę do gęby, i zatrzymam ją na pół drogi, bo zapomnę że miałam jeść, moja pani Marcinowo.... starość nie radość!....

— Młodość nie wesele — dokończyła Marcinowa, przyznając się z ochotą do wieku, który jej przysądzała kumoszka, — i cóż z tego moja kumo, że my pamiętamy co się dzieje, kiedy nie ma nic innego do pamiętania tylko bieda i bieda?... Ale powiedzcież mi nareszcie, coście to usłyszeli przez ścianę u Węcków?....

— Przez ścianę powiadacie kumo, przez ścianę?.... Dałabym ci ja nie wiem co, żebym miała

taki słuch, żebym mogła słyszeć przez ścianę.... Ho! ho!.... kiedyś to było.... miałam ci ja słuch inakszy i wyglądałam wcale inaczej.... i panowie się do mnie uśmiechali, tacy ładni panicze i bogaci, jak mnie tu widzicie moja Marcinowo, panowie całą gębą, co aż ha!....

— Co było a nie jest....

— Wiem wiem, to się nie pisze w rejestr.... ja też nie utrzymywałam rejestrów, ale zawsze wspomnieć miło na starość, że się kiedyś było niczego...

— Toć ja wiem najlepiej, moja kumo — z przekonania odrzekła Marcinowa, — najlepiej wiem po sobie.... na mnie bo i teraz nie jeden jeszcze spojrzy, żebym tak zdrowa była, moja pani Jakóbowo, ot naprzykład....

— Bodajże was kumo.... jeszcze wam to w głowie?....

— Albo co, moja Jakóbowo, albo co?....—obruszyła się kumoszka,— poznajcie sami, że mi jeszcze dalej niż bliżej....

Piastunka miotły westchnęła....

— Wiem, ci wiem, kumo a mnie bliżej niż dalej.. nie gniewajcie się — odpowiedziała, — ja to tylko tak sobie powiedziałam po szczerości, w cztery oczy.... więc tedy.... ale.... o czem że to gadałam?....

Wstępująca w obronie swej młodości Marcinowa, sama w części zapomniała o czem rozmawiać zaczęły.

— A! a!.... — zawołała po krótkiej chwili namysłu — mówiliście kumo, że to nie była ściana....

— Ściana?... — powtórzyła Jakóbowa ze zdziwieniem, — co wy znowu gadacie ściana, moja kumo?.... co to za ściana?.... to plunąć na taką ścianę, z przeproszeniem powiadam wam, pani Marcinowo...

— A więc cóż to było?....

— Proste przeforsztowanie z desek i co!.... żebym się tak oparła i.... westchnęła dobrze, toby się to rozleciało do djabła.... a szpary to w tem takie, że palec wlezie.... gdyby to tak było za młodu, tobym nie tylko słyszała ale i widziałabym wszystko u tych Węcków.

— No, ale cóżeście słyszeli?....

— Co?.... to okropność, powiadam wam, kumeczko, to okropność!.... Ten Węcek bo widzicie chłop jak dąb.... a kobietę ma wcale niczego, młode to, przystojne i co się nazywa.... podobno nawet jej rodzice mieli jakiś tam domek za Wolskiemi rogatkami, ale ja tam wcale nie widziałam tego domku...

— Wielkie rzeczy, za Wolskiemi rogatkami!...— z lekceważeniem odpowiedziała Marcinowa,— i pewno z takiego głupstwa Węckowa dmie i z przeciwnymi ludźmi gadać nie chce?....

— Gdzie tam dmie moja kumo..... gdzie tam dmie!.... to wcale dobra kobieta.... wczoraj byłyśmy z nią na rogu.... ona kazała dać po trzy, a ja kazałam dać po dwa.... i co!....

— No to jeszcze, kumo.... bo ja to widzicie, gorzej djabła niecierpię tych co dmą, a nie mają z czego.

— A ja to myślicie pani Marcinowa, takich lubię, albo co?.... albo to ja nie pani za swoje trzy grosze?.... a zasie im odemnie!... patrzcieno ich!.... żeby kto tak chciał przewodzić nademną dla tego że bogatszy, to widzicie jakem tu żywa, jak tu przed wami stoję, żebym się tak w ziemię zapadła, to jakbym go tą miotłą zamalowała....

— A jabym mu konewki o łeb nie rozbiła, myślicie pani Jakóbowo?.... ho! ho!.... chociaż w atłasach nie chodzę, ale się w kaszy zjeść nie dam.

— Ani ja, kumciu, ani ja.

W tem miejscu dopiero stenografując, miałem sposobność dać wypocząć ręce przez mgnienie oka.

Zaledwiem zdążył palce wyprostować cokolwiek, a pani Jakóbowa znowu zaczęła.

— Więc.... do czegóż-to prowadziłam?....

— A do ściany....

— Znów do ściany!....—oburzyła się Jakóbowa,— powiedziałam wam przecie, że to było przeforsztowanie.

— Tak.... prawda.... przypominam sobie.... a za tem przeforsztowaniem cóżeście-to kumciu słyszeli?...

— Ah! tak!... to rzeczywiście śmiechu warte....

— Mówiliście, że to było coś okropnego....

— O! w istocie.... jak mnie widzicie... to okropne i śmiechu warte....

— Ależ powiedzcie mi co to było?

— Bogać nie?.... dlaczegóżbym wam nie miała powiedzieć moja kochana pani Marcinowa, a czyż to ja wam złego życzę, albo się o was boję, żebyście nie rozgadali przed ludźmi?....

— Więc to jakaś tajemnica—zawołała podwójnie zaciekawiona Marcinowa, — mościewy!.... czyż wy mnie nie znacie kumciu, że jak się co dowiem, to ani pisnę, ani pary z gęby nie wypuszczę.... milczę jak grób, jak ściana....

— Zawsze wam ściana w głowie, a ja powiadam, że to tylko przeforsztowanie....

— Wiem, wiem, przeforsztowanie.... Ja też nie do tego mówiłam, tylko prowadziłam na to, żem ja do tajemnicy jedyna, to się przedemną taić nie macie co.... ot, nie dalej jak wczoraj wieczór. Wojciechowa u Siapsiowej mi powiadała, że tej szelmy Dudzianki trzymać u siebie na stancji od pierwszego nie będzie.... a przysięgłam jej na czem świat stoi, że o tem przed nikim nie zipnę i myślicie że zipnęłam?... żebym tak jutro żywa była, jeżeli nie wy pierwsi odemnie słyszycie.... widzicie, że przedemną można powiedzieć....

— Nie macie się czego zaklinać, kumciu — odpowiedziała Jakóbowa,—albo-to ja was nieznam?.. Ja wam-to mogę powiedzieć bez zaklinania, wiem że tajemnicy dotrzymacie, a choćbyście nie dotrzymali, to mi tam wszystko jedno.... dbam o Węcka jak o piąte koło u wozu i nietylko o jednego Węcka, ale o wszystkich Węcków na świecie....

— Więc cóżeście słyszeli za przeforsztowaniem — zapytała znów Marcinowa.

Ale kuma tą razą nie chciała słuchać zapytania, bo jeszcze nie skończyła swojego.

— A co Dudzianka to jej rzecz — mówiła dalej, — czy ją Wojciechowa trzymać będzie na stancji od pierwszego czy nie.... jak nie będzie mieszkała u niej, to pójdzie mieszkać gdzieindziej.... niby-to Warszawa mała?.... Ja jej muszę nawet powiedzieć, żeby sobie od dziś szukała stancji....

— Zlitujcież się, aby nie mówcie, że to słyszeliście odemnie.

— A co ja się mam przed nią spowiadać od kogom to słyszała, a od kogo nie?.:.. albo to mnie Dudzianka matka, albo pani?.... ja jestem sobie sama po sobie i co wiem to wiem od kogo mi się podoba.... wszyscy djabli komu do tego?.... odemnie nawet mój nieboszczyk Jakób nigdy nie mógł się dowiedzieć, od kogo ja co wiem...

— Ani mój nieboszczyk Marcin też, powiadam wam kumo.... nieraz to mnie wziął i zbił, a ja jak

się uparłam, to nic nie powiedziałam... Więc cóż to Węcek zrobił za preforszto....

— Aha! muszę wam nareszcie powiedzieć..... — przypomniała sobie Jakóbowa, — Węcek widzicie chłop jak dąb.... ona widzicie kobieta niczego... rodzice mieli podobno domek na Woli, ale ja tam tego domku....

— No, to już mi mówiliście, kumeczko, to już wiem....

— Mówiłam?..... kiedyż ja to wam mówiłam, Marcinowo?.... aha! przeszłego Piątku jak się spotkałyśmy przed Farą... nie prawdaż?...

— Ale gdzie tam! mówiliście mi teraz, tutaj, przed chwilą....

— O! o!... a wam znowu co w głowie?.... nibym to ja zdziecinniała na starość, albo mi się we łbie przewróciło, albom pijana, albo co?.... teraz tutaj, przed chwilą?.... wmawiacie we mnie jak w chorego jajko.... niby to ja nie wiem co gadam!....

— Ależ moja kumeczko....

— Co tam ależ.... jakie tam ależ!.... teraz, tutaj, rozmawiałyśmy..... ja wiem dobrze o czem do was gadałam; powiedziałam wam, że ta bestja Wojciechowa nie chce trzymać Dudzianki od pierwszego, ale ona jej da!..... Dudzianka Wojciechowej, powiadam.

— Pozwólcie kumo, ale to nie wy mnie, tylko ja wam to powiedziałam—zaprotestowała Marcinowa.

Jakóbowa zgarbiona wiekiem, tak się zdumiała tą protestacją, że przy pomocy miotły wyprostowała się jak struna.

— I co! — zawołała stojąc w uroczystej pozie,— i co!.... wy mi tutaj gadać będziecie, że to nie ja wam powiedziałam?.... no i proszę, słyszeliście to ludzie?...

Inną razą Marcinowa nie byłaby ustąpiła zapewne, tymbardziej że miała słuszność, tym razem jednak paliła ją ciekawość dowiedzieć się, co się stało u Węcków za przeforsztowaniem,—ciekawość tymbardziej usprawiedliwiona, że już przed dwoma dniami spotkawszy się z Jakóbową, dowiedzieć się tego nie mogła, dała więc za wygraną i rzekła:

— No, no, nie gniewajcie się kumo, niech już będzie wasze na wierzchu.... tylko powiedzcie mi....

— Albo nie powiedziałam—przerwała Jakóbowa,—że dla Dudzianki jak zapłaci, wszędzie się stancja znajdzie....

— Tylko tu nie o Dudziankę idzie ale o Węcka, —przypomniała kuma z konewką.

— O Węcka?.... prawda.... i ja wam tego nie mówiłam w przeszły Piątek.

— Zaczęliście aleście nie skończyli, moja kumo.

— Ha! kiedy tak to już wam powiem moja kumciu, tylko mi nie przerywajcie.

Tu Jakóbowa odchrząknęła i rozpoczęła na nowo.

— Węcek, widzicie chłop jak dąb.... ona widzicie kobieta niczego....

Marcinowa zacisnęła zęby, żeby nie przerwać i dowiedzieć się wreszcie o co chodziło, znać było jednak po niej, że się niecierpliwiła i ledwie panowała nad sobą.

— Ona widzicie kobieta niczego—prawiła uzbrojona w miotłę baba, — rodzice podobno mieli domek za Wolskiemi rogatkami, ale ja tam tego domku nie widziałam. Otóż widzicie Węckowie mieszkają za przeforsztowaniem koło mnie.... i kilka dni temu.... bodajżecie.... kiedyż to było?....

— Mniejsza o to kiedy....

— Nie mniejsza, moja kumciu.... nie mniejsza.... a! tak.... rychtyk trzy dni temu, w Sobotę....

Marcinowa przygryzła sobie wargi, żeby nie zarzucić, że kiedy to było w Sobotę, to kuma o tem w Piątek opowiadać nie mogła. Zdołała przecież wymódz na sobie milczenie.

— W Sobotę tedy—ciągnęła dalej Jakóbowa,— siedzę sobie na zydlu pod przeforsztowaniem i słyszę....

W tej chwili furtka przeciwległego domu otworzyła się, wychyliła się z niej porządnie łysa głowa i dał się słyszeć głos:

— Jakóbowa! Jakóbowa!....

Opowiadająca porwała miotłę i zaczęła się zabierać do odejścia.

— Bądźcie zdrowi, kumeczko, bądźcie zdrowi... stary widzicie mnie woła:... muszę lecieć.... kiedyindziej wam dopowiem....

— Ale moja kumo, choć słóweczko.... coście słyszeli?.....

— O! to długa historja.... kumo.... Węcek widzicie chłop jak dąb.... stary mnie woła.... kiedyindziej.

Marcinowa spojrzała z urazą za odchodzącą, rzuciła energiczne przekleństwo na starego, wzruszyła ramionami, wzięła konewkę i odeszła.

Na tem skończyła się rozmowa. Niezmiernie żałuję, że już później nie miałem sposobności podsłuchiwania tych kumoszek. Byłbym się zapewne dowiedział nietylko tego co Węcek zrobił za przeforsztowaniem, ale nie mniej ciekawego szczegółu, ile razy jeszcze dwie kumy musiały się spotykać, za nim sobie to powiedziały. Z prawdziwym przeto bólem serca, zdecydować się muszę na pozostawienie tych ważnych rzeczy domyślności czytelników.

CZARODZIEJSKA DOLINA

Podług wiarogodnych źródeł.

OPOWIEDZIAŁ

Mścisław Kamiński.

Przed kilku laty,—powiada pewien podróżnik, —należałem do karawany kupieckiej, odbywającej podróż z Saint-Louis, przez pustynię amerykańską do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Karawana nasza składała się z dwunastu kupców, kilku strzelców, inżeniera dyrygującego kopalnią miedzi w okolicach El-Paso i czterech meksykańskich przewodników. Przeszedłszy szczęśliwie góry Skaliste, znaleźliśmy się po kilku dniach podróży, w nieprzejrzanej okiem pustyni, kędy strudzony jednostajnością wzrok nie napotyka żadnego wzgórza, żadnego drzewa lub jakiegokolwiek bądź przedmiotu—piaski wszędy i piaski. Gdzie niegdzie tylko widniała kępka szałwji lub sterczał kaktus, ale wyschły, skarłowaciały, barwy popielatej. Z resztą anidźbła trawy. Nie tylko, że nie napotykaliśmy tu ani kropli wody, ale sądząc z jałowości i suchości gruntu po którymeśmy postępowali, zdawało się, że nigdy w tych okolicach deszcz nie padał. Gdy z jednej strony chmury piasku, podnoszącego się z pod kopyt naszych koni i mułów tamowały nam oddech i zasypywały oczy, z drugiej paliły nas nieznośne promienie słońca, które tem przykrzej oddziaływały, żeśmy czuli okropne pragnienie, a szczupły zapas wody zupełnie się wyczerpał. Stan nasz był okropny, pragnienie jeszcze dokuczliwiej musiało się dać uczuć

naszym zwierzętom, które nie tylko pić ale i jeść czego niemiały.

Już zamierzaliśmy się wrócić napowrót do rzeki nad którąśmy nocowali, gdy ku wieczorowi uderzył oczy nasze miły widok, który nas żywą napełnił radością. Był to wysoki biały przedmiot, który się rysował w dość znacznem oddaleniu, rzekłbyś zawieszony w powietrzu. Na pierwszy rzut oka poznaliśmy co to znaczy: przed nami wznosił się śnieżny szczyt, jednej z tych gór, zwanych w Meksyku Newada, co jak samotne drogowskazy, kiedy niekiedy urozmaicają dzikie amerykańskie pustynie. Radość nasza z tego powodu pochodziła, iż wiedzieliśmy, że wiekuisty śnieg pokrywający wierzchołki tych gór, tając, tworzy rzeki i strumienie, których brzegi bujna roślinność pokrywa. Tu więc spodziewaliśmy się znaleść nie tylko orzeźwiającą wodę, ale i wyborną trawę dla koni i mułów. Znaczna wprawdzie odległość oddzielała nas jeszcze od tej góry, ale sam już jej widok nas pokrzepił jak niemniej i zwierzęta nasze, które wiedzione instynktem, żywiej stąpać zaczęły.

Biały przedmiot co chwila stawał się wyraźniejszy. O zachodzie słońca mogliśmy już rozróżnić brunatne pokłady skały tworzące podnóże, gdy tymczasem śnieżny jej szczyt oświecony promieńmi zachodzącego słońca, zdawał się złocistą kopułą, której świetlny odblask lśnił nam oczy.

Słońce zaszło, a księżyc miejsce jego zastąpił. Oblany bladawą jego poświatą szczyt góry, był niby gwiazdą przewodnią, ku której, kierowaliśmy swe kroki. Szliśmy tak całą noc, nie odpoczywając; odpoczynek bowiem byłby dla nas śmiercią.

Noc ta zdawała się nieskończoną. Gdy niebo zarumieniło się wschodem, ledwieśmy się trzymali na nogach; a jednak jeszcześmy nie byli u kresu podróży, i góra w znacznem się jeszcze oddaleniu rysowała. Przy blasku promieni słonecznych, dostrzegliśmy na południowym stoku góry głęboki parów, który biegąc od jej szczytu, ginął niespostrzeżenie w równinie. W tę to właśnie stronę zwróciliśmy swe kroki słusznie wnosząc, że taki parów musi niezawodnie mieścić w swem łonie to, czegośmy szukali t. j. wodę. Jakoż w miarę zbliżania się dostrzegliśmy wspaniałą zieloność, dziwnie uroczo odbijającą się na tle szarém pustyni. Głośne *hura* wyrwało się z naszych piersi i podziękowawszy Bogu za ocalenie, przyspieszyliśmy kroku, ile na to siły nasze dozwalały. Wkrótce karawana nasza zatrzymała się nad brzegiem wartkiego strumienia, pod rozkosznym cieniem sosen i drzew bawełnianych.

Po tak uciążliwej podróży, postanowiliśmy przepędzić w tem miejscu dzień lub nawet parę, jeżeli okoliczności wymagać tego będą, ile że gaj dostarczał dla ludzi miłego cienia, a łąka wybornej paszy dla mułów i koni. Dzień ten zszedł na odpoczynku i polowaniu, które wyśmienicie nam się powiodło; zabiliśmy bowiem olbrzymiego kozła skalnego, a soczyste jego mięso lepiej nam smakowało, niż najwyszukańsze łakocie.

Nazajutrz złożyliśmy radę co począć należy. Jeżeli się udamy z biegiem rzeki, ta zaprowadzi nas na południe, co oddaliłoby nas z drogi, albowiem winniśmy byli kierować się w kierunku wschodnim. Oddalając się zaś od wody, narażalibyśmy się na takie same, a może i większe od tych, jakie przebyliśmy niebezpieczeństwa. Co począć? Wtem głośne wołanie jednego ze strzelców, zwróciło naszą uwagę. Stał on o kilka kroków od nas i wskazywał ręką na południe. Spojrzeliśmy w tę stronę, i ku wielkiemu zadziwieniu ujrzeliśmy słup sinego dymu, wznoszący się z równiny i niknący w obłokach.

— To Indjanie,—zawołał któryś.

— Tak, to muszą być Indjanie, bo na sto mil w około nie znaleść tu człowieka białego.

Odkrycie to wielkiej trwogi nas nabawiło. Indjanie bowiem wieczną wojnę białemu człowiekowi wypowiedzieli, a biada nieszczęśliwemu, którymby się dostał w ich ręce! Nie tylko nieuchronna śmierć go czeka ale i najstraszniejsze męczarnie, od których opisu najzuchwalsze wzdryga się pióro.

Nic innego nam nie pozostało, jak przygasiwszy własne ognisko i ukrywszy obóz w gęstwinie, wyprawić kilku towarzyszy na zwiady. Jakoż w kwadrans potem, jedni z naszych udali się z biegiem rzeki, drudzy wspinać się poczęli na górę, gdy tymczasem pozostali zajęli się sprzątaniem obozu.

Z góry o ileśmy się na nią wspiąć zdołali, nic takiego dostrzedz nie mogliśmy, coby zaspokoiło naszą ciekawość. We wschodniej tylko stronie a więc w kierunku, gdzie rzeka płynęła, daleko wśród zieloności ujrzeliśmy niepewne zarysy niby jakiejś rozpadliny, którąśmy wzięli za głębokie koryto rzeki. Ztamtąd to wznosił się dym, lecz to było wszystko, cośmy dostrzedz mogli.

Puściwszy się brzegiem rzeki, pomyślniejszy odnieśliśmy skutek. Uszedłszy parę wiorst, usłyszeliśmy przytłumiony huk, podobny do odległego wodospadu. Domyśliliśmy się, że zbliżamy się do punktu, w którym rzeka spadając ze znacznej wysokości, wchodziła zapewnie w ową dziwną rozpadlinę, którąśmy z góry widzieli. Jakoż przeczucia nas nie zawiodły; podszedłszy bowiem kilka kroków dalej, stanęliśmy nad brzegiem strasznej przepaści, w głębi której toczył się strumień, staczając się ze skały przynajmniej na sto stóp wysokiej.

Nic wspanialszego nad te pieniące się, szumiące i bryzgające wody, w których promienie słoneczne łamały się wszelkiemi barwami tęczy! Nie długo jednak mogliśmy się lubować tym widokiem, bo inny przedmiot ściągnął naszą uwagę. Pod nami, w przerażającej głębokości rozciągała się przecudna dolina, okryta szmaragdowym kobiercem zieleni. Był to niby olbrzymi puhar agatowy, którego brzegami były nieprzystępne skały. Długość jej mogła wynosić parę mil, szerokość połowę tego. Ponieważ staliśmy na najwyższym jej krańcu, mogliśmy przeto ją objąć jednym rzutem oka. Boki jej były porosłe gęstym i nieprzebytym lasem cedrów i jodeł. Z licznych szczelin opoki, wyrastały gdzie niegdzie pękate kaktusy i czerwono listne mageje, cudnie odbijające się na ciemnem tle cedrów i jodeł.

Wnętrze doliny tchnęło spokojem i weselem. Roślinność była tu tak bogata, drzewa tak piękne a ich korony tak gęste, że w odległości w której śmy się znajdowali, zdawały się one wspaniałym kobiercem, na którym jesień jaskrawemi swemi barwy, wysnuła najdziwniejsze i najfantastyczniejsze desenie. Wsamym środku doliny lśniła się lazurowa powierzchnia jeziora, olśniewająca w tej chwili swym blaskiem, a nad zachodnim jego brzegiem, po-

śród drzew i krzewów, widniał ów dym, który nas takiej trwogi nabawił.

Wróciliśmy do swoich towarzyszy i jednomyślnie zgodziliśmy się na to, aby się udać ostróżnie brzegiem wąwozu aż do miejsca, którem moglibyśmy z łatwością dostać się do wnętrza doliny. Nie wątpiliśmy bowiem o istnieniu takowego przejścia, bo w przeciwnym razie jakżeby ci co ów ogień rozpalili, na dolinę się dostali?

Zwinąwszy tedy obóz, wsiedliśmy na konie i muły i ruszyliśmy ku kaskadzie. Postępowaliśmy ostróżnie, starając się aby zawsze od strony parowu zakrywały nas drzewa lub krzaki, czyli abyśmy mogli wszystko widzieć sami nie będąc widziani. Zatrzymawszy się z karawaną naprzeciw tego miejsca, kędy się wznosił dym, poszliśmy we dwóch na sam brzeg przepaści i odchylając gałęzie z ostrożnością, zapuściliśmy oko w głąb doliny. To cośmy ujrzeli było dziwnem przynajmniej ze względu na miejsce, w którem się ta scena odbywała.

Na przeciwnym brzegu jeziora, o jakie sto kroków wznosił się piękny drewniany domek, po za którym ukazywały się inne mniejsze zabudowania. Na około tych zabudowań rozciągał się park zamknięty barjerą, w którym ujrzeliśmy mnóstwo zwierząt domowych. Dalej ciągnęły się obszerne pola uprawne i obfite łąki, na których się pasły liczne stada. Słowem mieliśmy przed oczyma fermę najzupełniejszą z polami, łąkami, ogrodami, lasem, oraz zwierzętami domowemi. Co się tyczy jednakowoż tych ostatnich, nie mogliśmy zrozumieć do jakiego rodzaju zwierząt należą; kilka ludzkich postaci kręciło się tu i owdzie, ożywiając ten krajobraz. Odległość niepozwalała nam dostrzedz, czy to byli Indjanie, czy też ludzie tej samej co i my rassy. Zabudowania wszakże, któreśmy widzieli, dowodnie nas przekonywały, że tylko człowiek biały mógłby się na nie zdobyć. Ale jak wytłumaczyć sobie jego pobyt w tem miejscu!

Bądź co bądź, postanowiliśmy na miejscu zbadać tę rzecz i po krótkiej naradzie, ruszyliśmy w dalszą podróż zawsze brzegiem wąwozu, spodziewając się, że znajdziem wreszcie jakiekolwiek przejście. Po paru godzinach drogi, poczęliśmy się spuszczać w dolinę w miejscu, w którem wychodziła z tej ostatniej rzeka: droga, jeżeli to przejście nazwać tak można, była niezmiernie wązką, z jednej strony dotykała gęstego lasu, z drugiej wiła się nad brzegiem okropnej przepaści, w którą niepodobna było spojrzeć bez zawrotu głowy.

W miarę spuszczania się wewnątrz doliny, coraz większe napotykaliśmy drzewa, które nietyle nas jednak dziwiły, co ogromne stada przeróżnego ptastwa, które z krzykiem na nasz widok uciekały. Wreszcie las zrzedniał i po przez pnie drzew znowu dostrzegliśmy ów tajemniczy domek, ale tym razem już wyraźnie i dokładnie. Jakkolwiek wszystko cośmy widzieli w tej dolinie, zdawało nam się dziwnem, to przecież największy w nas podziw budziły zwierzęta, pasące się w parku i na łąkach. Oprócz koni, wszystkie należały do gatunków li tylko w stanie dzikim znanych; nawet konie różniły się od zwyczajnych, były małe i pstre: poznaliśmy, że to są mustangi, czyli konie właściwe amerykańskim pustyniom i stepom.

Zwierzęta, któreśmy zrazu brali za woły, poznaliśmy, że są bawołami, lecz zupełnie odmiennemi od tych, jakie niejednokrotnie w stepach napotykaliśmy; nie tylko bowiem zdawały się zupełnie swojskiemi, ale nadto para ich najspokojniej orała przyległą rolę. Obok nich pasły się wielkie łosie amerykańskie, liczne stada danieli i antylop, oraz kilka gatunków dzikich kóz i baranów. Gdzie niegdzie uwijały się zwierzęta podobne do świń bez ogona, lub do lisów i psów. Ptastwo, aczkolwiek swojskie, zupełnie się różniło od domowego drobiu. Słowem zdawało się nam, żeśmy się dostali do ogrodu aklimatyzacyjnego lub do wielkiej menażerji. Ujrzeliśmy także dwóch ludzi: jeden wysoki, jasnowłosy, należał widocznie do tejże samej rassy co i my; drugi nizki, przysadkowaty, był murzynem i orał w tej chwili. O kilkanaście kroków dalej, stało dwóch rzeźkich chłopaków, także białej cery; przed domem siedziała kobieta zajęta jakąś pracą, a obok niej bawiły się dwie dziewczynki.

(*d. c. n.*)



Siedziała kobieta, a obok niej bawiły się dwie dziewczynki (Str. 88—Szp. 2))
(Rysunek i układ Kazimierza Kuczyńskiego).

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.